

1.470.422

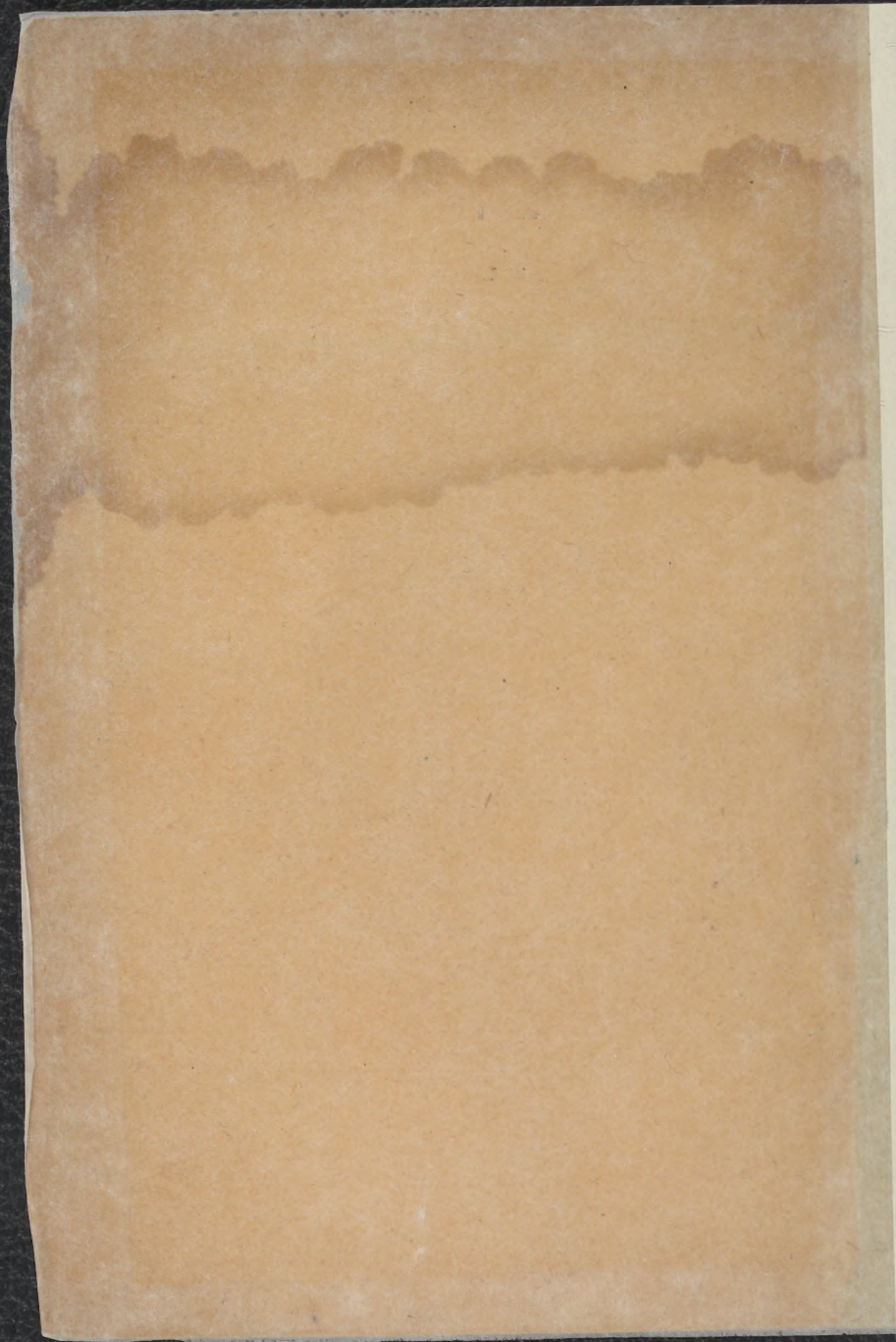
# Jarmark na Ś-ty Onufry

POWIEŚĆ

A. DYGASINSKIEGO.



W. DYNIEWICZ CHICAGO, ILL. 1907.



# Jarmark na Święty Onufry.

POWIEŚĆ

A. DYGASINSKIEGO.



CHICAGO, ILL.

W. DYNIEWICZ

1907

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

I 1.470.422

A

1991K-1110/102

### Margocha i Brycha.

W Skalbmierzu mieszkają ludzie, prawnuki pradziadów, którzy się wyraziście wpisali w złotą księgę dziejów. Ale od niejakiego czasu ustały już na kraj nasz napaady tatarskie i trudno jest człowiekowi w Skalbmierzu zrobić coś historycznego. Więc tylko w trzechmilowym promieniu Skalbmierzanie walczą o palmę sławy z Wiśliczanami, Proszowiczanami, a nawet z Pinczowianami.

W czasach, o których tu mowa, Skalbmierz posiadał dwie przekupki, uprzywilejowane dostatecznie przez magistrat na proceder sprzedawania pieczywa i produktów. Jedna z tych białogłów Małgorzata Stępniaiczka, zwana pospolicie Margochą, była niezmiernie chuda, wysoka, ciemno-oka, kruczo-włosa i czarno-lica; druga Brygida Półtoraczna, albo Brycha, była niska, wielce otyła, płowo-włosa i piegowata. Prowadziły one ze sobą zaciętą, a nieustanną

wójnę, odnawianą często w pewne poranki przy otwieraniu kramów. Można zresztą powiedzieć, w ciągu całego dnia obie kobiety nie składały oreża, a trzymały się na stopie wojennej. Jeżeli jaki przechodni chłop lub baba robili zakup u Margochy, wtedy Brycha otwierała szeroko usta, ukazywała dwa rzędy zdrowych zębów i miała zwyczaj śmiać się szydersko, głośno i tak mocno, aż się jej trzęsły podbródki; śmiech ten mówił bardzo dużo; niejednen kundman Margochy spoglądał wtedy podejrzliwie na zakupiony towar, przypuszczając, iż przyczyną śmiechu jest chyba jakie handlowe oszustwo, którego on pada ofiarą. Gdy znowu Brycha była w targu szczęśliwszą, wówczas Margocha najpierw za pomocą głośnego kaszlu zwracała na siebie uwagę kupującego, a następnie okiem, ustami odętymi, oraz różnemi gestmi wyrażała taką pogardę i nienawiść dla niego, że przerażony kundman Brychy zapominał prawie o sprawunku i uchodził od kramów czempredzej. Bywały też i takie zdarzenia, że niejednen podróznik, śmielszej natury, zakupiwszy u Margochy potrzebne zapasy, przystawał na przeciwko kramu Brychy, ażeby spożyć, co Bóg dał, wtenczas to chuda przekupka nie

poprzestawała na kaszlu i minach, ale mawiała jeszcze naprzykład:

— A bodajżeś się sobako udławił!

Albo:

— Truj się mazgaju, truj!

Margocha w niektórych razach zachowywała się jeszcze niedelikatniej względem klientów swojej sąsiadki, mawiając naprzykład:

— Czegóż na mnie gamoniu wywalasz gały?... Nie możesz pilnować cebrzyka, z którego chlapiesz pomyje?

Lub:

— Wleź drągu w płot, a będziesz kołkiem, nie tu mi świeć swoją lampą prosto w oczy.

Były to utarczki prowadzone pośrednio, zwracane niby to do osób trzecich, a w gruncie rzeczy chodziło tu zawsze o dokuczenie nieprzyjaciółce. Można sobie wyobrazić z tego, jak wyglądała wojna staczana bezpośrednio. Cały Skalbmierski rynek brzmiał wtedy przekleństwami, tłumy gapiów nasłuchiwały zdaleka i zbliska, a jeśli się znalazł jaki dobrej woli rozjemca, natenczas obie przekupki wyruszały w pole przeciwko niemu i każda z nich w szczególności lżyła go na swoją rękę.

— Patrzcie, go, jaki rajca, nos sobie utrzymaj, gawronie, a nie w cudzej kaszy palce maczaj!

— Paliwoda, pędziwiatr jakiś!... dodawała z przekąsem Margocha. — Na świnię wołaj: Zgoda!... nie na ludzi, ośle dar-dański!

Rozjemca kładł uszy po sobie i zmykał od kramów.

---

## 2. Szymek, Chmiela i Kudła.

Były jednakże chwile, w których Margocha i Brycha jeszcze solidarniej łączyły się ze sobą, a to przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, jakim był Mateusz Trykalski, majster cechu rzeźniczego. Tego obywatela skalbmierskiego, los uposażył bardzo szczerze pod względem materyalnym, ale w darze od matki przyrody otrzymał on dużo zarozumiałości i przytem kłótlive usposobienie. Trykalski miał w mieście wielkie znaczenie; w danej chwili cała lepszyzna skalbmierska trzymała jego stronę; bo jeśli nie był z kimś spowinowacony stosunkami krwi, to niezawodnie łączyło go z nim pobratymstwo kuma albo swata. A więc potężne stronnictwo rzeźnika składało się z najsol-



dniejszej osiadłej masy miejskiego patrycyatu. Natomiast po stronie Stępniażki i Półtoracznej stał chwiejny proletaryat, wśród którego szynkarze jeszcze więcej znaczyli, reszta byli to wyrobnicy, wogóle bieżącego stanu rzeszy, gotowi każdej chwili do dzieła społecznych przewrotów. Podobnie, jak Trykałski stał na czele partji pierwszej, tak znowu drugą dowodził Szymek Chmiela, który poprzednio piastował urząd nocnego stróża miasta i właśnie z powodu Trykałskiego oraz na jego wniosek otrzymał dymisyę. Chmiela co do pochodzenia był chłopem z pobliskiej wsi Kobylniki, ale się "skuldonił" — jak mówili chłopci. Będąc jeszcze małym chłopakiem pasał on gęsi na błoni pod miastem i często z biczem w ręku przychodził do Skalbmierza, aby się pogapić. Bił pan ojciec, bili pani matka za porzucenie gęsi na pastwisku, ale to wszystko nic nie pomagało.

— Pamiętaj raku, psianogo, skórę z ciebie ściągnę, kiej się będziesz biesił i bisurmanił pomiędzy łykami." Tak mawiali pan ojciec, stary Chmiela.

Obecnie Szymek był człowiekiem bez kasty, chłopci nie uważali go już za swego, zwłaszcza, że nosił na łbie bury kaszkiet z

daszkciem; łyki też nie przyjęli go pomiędzy siebie.

W Skalbmierzu Chmiela wyglądał na Dyogenesa. Trykalski bo już był do niego uprzedzony; zresztą, jako bogacz o pracy tylko perorował zawsze, a o Szymku mawiał z widocznym wstrętem i oburzeniem cnotliwego męża:

— Pod słońcem niema większego dar-mozjada i lenia jak Chmiela. To bestya wał-koń do niczego.

A jednak Chmiela, dopóki był stróżem nocnym — był zaś nim dwa lata — pełnił obowiązki swoje nadzwyczaj sumiennie. Był atoli hardy, zuchwały, więc go bogatsi mieszczanie nie lubili i posadę tę obsadzo-no jakimś protegowanym faworem. Dymi-syonowany Szymek siedział teraz po całych dniach na podcieniu lub pod figurą św. An-toniego, i znowu, jak dawniej w młodszych latach, przyglądał się światu, a ludziom czynił spostrzeżenia. Noc przepędzał u które-gokolwiek parobka mieszczkańskiego w staj-ni, czy w oborze, między bydłem lub koń-mi. Być może, iż codzienne spoglądania i ob-serwacye sprawiły, że Chmieli przychodziły do głowy myśli, na jakie nigdyby się nie zdobył żaden skalbmierski obywatel. W Szymku było nieco sceptyka, nieco cynika,

a w każdym razie był to pozytywista. Ilekroć ktoś występował do niego z nauką moralną, przyganiając mu lenistwo, Szymek odpowiadał mu zawsze dosyć lekceważąco i z miną obojętną:

— Głupie takie gadanie! Czy to wy wiecie, co ja robię?

Policyant Szumara raz z nim powadził się o coś i powiedział mu, że “szczeka, nie przymierzając, jak pies”.

Szymek, nie namyślając się długo, odpowiedział:

— A bo to pies nie takie dobre stworzenie jak człowiek, czy co?

Kiedy usłyszał raz ludzi, sławiących zasobność Trykalskiego, odezwał się na cały głos:

— Wielkie rzeczy! Żebym chciał kraść lub oszukiwać, byłbym jeszcze bogatszy.

Brycha wyrzucała mu raz, że nie chodzi w niedzielę do kościoła, ale najwyżej pod kościół, na co odpowiedział spokojnie:

— A czegoż ja się mam w święto chować przed Panem Bogiem?

Pan pisarz pocztowy, spotkawszy raz Szymka nad brzegiem strumienia, czuł się w obowiązku zwrócić mu uwagę na oburzenie, jakie panuje w mieście z powodu jego próżniactwa i tak przemówił:

— Oj głupi Chmielo, głupi, żebyś choć gęsi pasał na pastwisku, więcej by cię ludzie uważali.

— Głupi, nie głupi, — odpowiedział Szymek. — A czy to pan pisarz wie, z przeproszeniem, dla czego ta woda płynie?

Pisarz się zmieszał, bo istotnie nie wiedział, dla czego woda płynie w strumieniu.

Chmiela zastanawiał się też w cichości ducha nad różnemi sprawami. Widząc n. p. latające ptactwo, stawiał sobie pytanie: “Jak to się stało, że wróble i gołębie latają, a człowiek, koń i wół chodzi, czy to tak było od samego początku świata?”

Raz po jarmarku, Chmiela znalazł psa, którego przejechał wóz z ciężarem; pies był cierpiący i poraniony; Szymek podniósł go ostrożnie, wziął na ręce, wykąpał, wymył, wyleczył i nazwał Kudłą. Po tej kuracyi psu pozostały trzy nogi tylko, ale i tak biegał dobrze. Odtąd Szymek i Kudła nie rozstawali się ze sobą, byli serdecznymi przyjaciółmi. Pies ten pochodził z chłopskich kundłów; znałem go osobiście; był barwy czarno-żółtawej, a głowę miał przekrzywioną na bok lewy. Podczas zimowych mrozów Kudła leżał na nogach Szymka w dzień i dopełniał jego wadliwe obuwie; w nocy służył pies panu swemu za pierzynę. Bywały zdarzenia, że

Chmiela spotykał się oko w oko z Trykalskim. Rzeźnik występował zwykle w takim razie z kazaniem:

Jak też ty człeku możesz tak wyżyć ciągiem w gnoju i bez dachu?"

— Gadajcie zdrów, panie Trykalski!... A jakby to żył nieprzymierzając pan Trykalski, żeby się chałupa spaliła? — mówił ironicznie Szymek.

Wszystkie te i tym podobne mowy Szymka, tłómaczono w mieście fałszywie, a na jego niekorzyść. Dosyć było, żeby wymówił wyrazy takie, jak kraść, aby go co bogatsze gulony posądziły o zamiar kradzieży lub podpalenia.

— Ty raba!.. musi kraść, bo z czegożby żył?" — mówili niektórzy zwolennicy Trykalskiego.

— Ten jego pies, to także ziółko! — Oczywiście pomaga mu w złodziejstwie — dawali inni.

— Słyszana rzecz, żeby człowiek tak się bratał ze zwierzęciem! — mówili inni.

Czy Chmiela istotnie był skończonym próżniakiem?

Wcale nie pracować, a jednak żyć na świecie jest niepodobieństwem. Chmiela pracował tylko tyle, aby wyżyć; przytem wybierał sobie rodzaje robót. Najbardziej

lubił drwa rąbać i chodzić z posyłkami, choćby o kilka mil drogi. Był on więc drwalem i gońcem miejskim. Ale świat jest już tak urządzony, że jak człowiek nie ma formalnej nominacyi, to zaraz mówią, że jest to próżniak bez pozycyi. Plebania, wikaryat, apteka, poczta, sąd często korzystały z usług Szymka, który miał reputacyę mocnej ręki, silnej nogi i dobrej głowy na karku. Jeśli szlachcic jaki przyjechał do Skalbierza wierzchem, to z całego miejskiego proletaryatu jeden Chmiela miał odwagę przyjąć i pilnować, choćby najniesforniejszego bieguna. Oddawano mu też nieraz w opiekę bryczkę, furę, sprawunki różne. i t. d. Wynajmował się również jako stójka w magistracie; ale robił to mniej chętnie, chyba w ostatnim razie, gdy mu niedostatek bardzo dokuczał. Najważniejszą chwilą był dla niego jarmark. Wtedy to poszukiwano Chmieli i na końskim i na bydłecem i na świńskim targowisku, po sklepach, szynkach i na podcieniu. A on zwijał się tu i owdzie; wtrącał się nawet w interesa kupna i sprzedaży, dawał zaś zawsze bezstronną, mądrą radę. W jarmark też zarabiał dobrze, czasem na jaki tydzień skromnego utrzymania dla siebie i dla Kudły.

Swoją drogą znowu pies miał właściwe sobie sposoby zarobkowania. Jako psu przebaczano w mieście mniej więcej rodzaj żebraniny, która miała bardzo dowcipny charakter. I tak, kiedy naprzykład Brycha spożywała śniadanie lub obiad, pies stawał na przeciw jej kramu i służył na dwóch łapach, wpatrując się w przekupkę świecącymi oczyma. Służenie to przychodziło mu z drudem dla braku tylnej nogi. Przekrzywił on wtedy głowę swoją jeszcze bardziej na lewo, bacznie zerkając na interesujący fakt odżywiania się przekupki. Atoli Brycha okazywała się w takim razie nieczułą, a nawet nie zwracała wcale uwagi, że jej pies asystuje. Gniewała widocznie Kudłę taka obojętność, więc od czasu do czasu niecierpliwił się i pomrukiwał pod nosem: “hummm!” Przekupka widocznie i z tego niewiele co sobie robiła.

“A niechże cię kaci porwą”! Mógł sobie pomyśleć Kudła. “Przecież ja na ciebie, samolubna babo, muszę znaleźć jaki sposób. Do dzieła zatem!”

Wówczas pies nasz zaczął coraz donośniej oszczekiwać kram Brychy, nie zdradzając w tem szczekaniu bynajmniej jakiego gniewu, ale po prostu dając do zrozumienia, że “co za nadto, to nie zdrowo”. Prze-

kupka, jako osoba otyła, ceniła święty spokój, żeby się zatem pozbyć psa, rzuciła mu czasem kąsek strawy, niedojedzony ochłap, jak to mówią. Pies przekonywał się wtedy, że fortel jego skutkuje, począł go więc stale używać. Taka to jest geneza wszelkich nałogowych obyczajów.

Po pewnym atoli czasie, Brycha otrząsała się również i z owem oszczekiwaniem, że zaś lubiała jeść dużo, przeto żałowała najmniejszego straconego dla siebie kaska. Skoro więc owe oszczekiwanie Kudły nie skutkowało wcale na punkcie zmiękczenia i wrzucenia twardego, jak kamień serca kobiety, pies uciekł się do robienia nowych prób i doświadczeń; począł on mianowicie modelować swój głos na różne tony, tak, że niekiedy szczekanie przypominało już to ujadanie, to skomlenie, to wreszcie wycie. Tego ostatniego rodzaju muzyki było dla przekupki zanadto. Trudno tego wymagać, żeby kobieta, do tego przekupka wyżyła w świecie bez przesądów a zabobonów. Brycha wierzyła niezłomnie, że wycie psa jest niezawodną zapowiedzią śmierci. Każda istota żywa jest tkliwie przywiązana do tej kombinacji różnych materyałów, która wytwarza procesa nazwane życiem; więc się nie dziwmy, że i Brycha ogromnie się bała śmierci.



Posłyszawszy wycie psa, poczęła pluć, następnie wymyślała Kudle straszliwie i irytowała się, że “taki jeden pies ośmiela się człowiekowi złe rzeczy przepowiadać i źle życzyć.”. Zwąchał zaraz Kudła pismo nosem, przekonał się, że stoi na stanowisku proroka i postanowił z tej godności nie abdykować. Wpadł istotnie w zapał wycia. Przekupka chwytła w rękę trzaski, kawałki gliny, błota, kamyki i wszystko na psa rzuciła. Ale że była ona niedołązną wrzucaniu owych pocisków, a pies drwił widocznie z jej zapalczywości. Porywała się przeto Brycha z zydlą i z miotłą w rękę opuszczała kram, aby skarcić psie zuchwałstwo. Kudła podnosił się wówczas niedbale, odskakiwał o kikanaście kroków dalej, przysiadł znowu, zwracał głowę ku kramowi i dalejże nucić swój hymn żałości.

— A bodajżeś się zawył!— przeklinała baba, ale w końcu widząc, iż złość jej nie skutkuje, rzucała kawałek chleba, co psa już ostatecznie pokonywało.

Rzecz prosta, iż tego rodzaju sztuczki Szymkowego psa wybornie usposabiały dla niego Margochę. Zyskiwał na tem Kudła podwójnie: pożywienie z jednej strony, z drugiej sympatyę ludzką.

Chmiela, patrząc nieraz na to wszystko, mawiał z filozoficznym namaszczeniem:

— Każde zwierzę ma swój rozum! ,

Szymek stojąc na czele opozycyi w Skalbmierzu, był jednak człowiekiem zupełnie bezinteresownym, nie wyzyskiwał bynajmniej wpływu, jaki wywierał na swe otoczenie; dbał, jak to mówią o ideę i dla niej pracował. Zresztą nie było też tak dalece z kogo i drzeć łyka. Chociaż partya optymistów trzęsła opinią, i ona głównie miała posłuch w magistracie, jednakże dawny nocny stróż miasta ostro wypowiadał każdemu prawdę w oczy. Nieraz zręcznie wytykał Trykalskiemu przewrotność i różne rzeźnicke szacherki, a innym odcinał się zuchwale, ilekroć go niewłaściwie zaczepiano.

Raz publicznie poruszono na rynku sprawę piekarza, który domieszał do chleba mąki z końskiego bobu, czy też innego jakiegoś tańszego produktu. Chmiela wystąpił wtedy i dowodził, że wszyscy bogaci w mieście okradają w ten sposób biednych.

“Potrochu każdy z nich jest złodziejem, mówił. — Pytają się ludzie, dlaczego ja nie służę? A bo nie chcę, aby mnie bogaty łyk okradł. Duszę wytrząsłby z człeka taki Trykalski i drugi. Nie dośpisz, nie dojesz, a robić musisz. I dla kogo? Kto żyje twoim

głodem, twoją krwawą pracą? Juści darmożjad, co się tylko przewala do góry brzuchem. Czy to ja nie wolę robić, co mi się podobą, i żądać za robotę tyle, ile mi się należy? Czy ja chcę ciężko pracować, żebym się na starość psu nie mógł opędzić?”

Cheiałbyś czytelniku wiedzieć, czy też Chmiela był prawdziwie rzetelnym człowiekiem?

Nie powiem ani tak, ani nie. Ale ponieważ sędzę, że w kwestyi uczciwości główną rolę odgrywają nie dogmata, ale uczucia człowieka i jego sumienie, przeto opowiem tu jeden fakt z życia Chmieli, który rzuci światło na sumienie tego człowieka.

Szymek wcale nie był aniołem. Ten mój bohater rósł i wychowywał się przecież wśród towarzystwa, liczącego wielu złodziei.

Na pięć lat przed czasem, do którego się odnosi nasze opowiadanie, kiedy Chmiela nie był jeszcze stróżem nocnym, kiedy i w bogatych łykach mniej budził podejrzeń, a więcej miał u nich sympatyi, — wówczas powiadam odbywał noclegi w krowiarni, gdzie mu się przesypiać pozwalał parobek niejaki Matus Późniak, chłop prawie dwudziestoletni, ale ogromnie głupi. Ten Późniak posiadał wtedy srebrną pięciozłotówkę, którą zawsze przy sobie nosił i chwalił

się nią przed wszystkimi znajomymi. Chmiela był w nędzy, sypiał w barłogu obok Późniaka, a wiedział dobrze, że ten chowa pięciozłotówkę na noc w magierce. W Szymku powstała chęć posiadania srebrnego pieniądza i żądza ta podpowiadała mu różne żądze, gdy się położył w słomie.

“Cóż łatwiejszego, jak zabrać pieniądze temu głupcowi. Jeśli ja nie wezmę, to i tak ktoś musi mu ukraść tę pięciozłotówkę. Na co Późniakowi mogą być potrzebne te pieniądze? Ma zawsze ciepłą strawę, obleczenie. I bez tych pieniędzy dobrze żyć może. A ja jestem biedny, często przez cały dzień nie mam co w gębę włożyć. Od niepamiętnych czasów nie jadłem ciepłej strawy. Po co on codziennie pokazuje tę pięciozłotówkę?... Ej, co tu myśleć!... Zabiorę mu pieniądze i koniec. Dostyc wstać po cichu, sięgnąć ręką i wyjąć z magierki... Pomyśli, że wypadło w słomę. Będzie szukał i nie znajdzie. Taki głupiec, nawet nie pożaluje.

Chmiela wstał, nie więcej zrobił szelestu, co mysz, wyjął pięciozłotówkę i schował w zanadrze. Ale spać już nie mógł do rana. Coś go niepokoiło, coś dokuczało wewnątrz. Był embryon sumienia i zaczęło się sumienie rozwijać; tej nocy podrosło już znacznie,

ale nie na tyle, aby Chmiela pieniądze oddał, i do winy się przyznał. Miał on włożyć pieniądze w magierkę, ale sobie tłumaczył jednak, że oto Poźniak jakoś się na posłaniu przewraca, i nie chrapie nad ranem, widać już nie śpi.

Szymek użył przywłaszczonych pieniędzy dla siebie. Ale cały rok dręczyły go ciężkie wyrzuty sumienia, dopóki nie zwrócił Poźniakowi skradzionej sumy. To pewna, że Chmiela nie kradł już nigdy potem. Popelniony zły czyn odegrał tu rolę w wychowaniu moralności, która widać sama przez się nie dojrzewa. Zdolność do moralności odziedziczamy, ale pokuty i wyrzuty sumienia stanowią też jakoby ćwiczenia samodzielnej moralności ludzkiej. Każdy człowiek przynosi odziedziczone od przodków dalszych i bliższych dwie moralne natury: jednej rodowód jest pierwotniejszy — drugiej nowszej daty. Z nieszanowania cudzej własności przy pomocy sumienia wyrobiło się poszanowanie cudzego dobra. Natura stara może być potężniej przekazaną i może znaleźć dobre warunki rozwoju, wtedy człowiek staje się złodziejem. Jeżeli wyrzuty sumienia są słabe, złodziej nigdy nie reformuje się wewnętrznie i umiera, jako złodziej. Moralność zaś równie jak i niemoral-

ność muszą mieć podstawy swoje w fizycznym organiźmie człowieka. Edukacya i religia są czynnikami, skierowanemi przeciw moralności starej daty, czyli przeciw niemoralności. Ale człowiek zdolny jest osobiście podwyższyć znacznie jeszcze poziom moralności ponad zwykłe przepisy bieżące.

Chmiela przeto nie był ani leniem, ani złodziejem, na złość opinii powszechnej wśród bogatych mieszczan.

Do sporu przekupek z Trykalskim wtrącał się niekiedy i policyant Szumara, który ze wszystkiego jednak chciał korzyść wyciągnąć, a szala jego uczuć przechylała się zwykle ku bogatszym.

Kłótnie, plotki i obmowy, wzajemne potwarze trwały przez całe lata. Czasem obadwa obozy przycichły i zdawało się, że już nareszcie do Skalbmierza zawitał anioł pokoju. Gdzie tam!... Krótko to trwało. Otwierała się znowu świątynia Janusa i krwawe widmo wojny domowej stępowało do nieszczęśliwego grodu.

Właśnie mam zamiar przedstawić jeden z licznych a opłakanych epizodów tej

wojny. Ale, nim to uczynię, muszę porzucić na chwilę Brychę, Margochę, Chmielę i Trykalskiego, a zaprowadzić czytelnika do magistratu miasta Skalbmierza.

---

### 3. W przeddzień jarmarku.

Wypadki, przezemnie opisywane tutaj, odnoszą się do końca pierwszej połowy XIX wieku. Wszystkie osobistości, odgrywające główną rolę w naszym opowiadaniu, już dzisiaj nie żyją.

Jakoś w czerwcu przypadał na święty Onufry jarmark w Skalbmierzu. Pan burmistrz Brzuchacki, jego kancelista Cybuszkiewicz i policyant Szumara, obiecywali sobie duże plony z tego jarmarku. Wieczorem w wigilię św. Onufrego wyszedł pan Brzuchacki przed magistrat i, zwracając ogolone, okrągłe a tłuste oblicze ku niebu, starał się przy pomocy swoich zezowatych oczu odgadnąć wyroki najwyższe, co się tyczy stanu aury na dzień następny. Towarzyszyli mu zaś podczas tych obserwacji obaj jego podwładni.

— A co, Szumara, jak myślisz — będzie jutro pogoda, czy nie? — mówił Brzuchacki.

Nawiasem dodajemy, że Szumara był prawą ręką burmistrza i we wszystkich jego operacjach wewnątrz i zewnątrz magistratu brał bardzo duży udział. On to konfiskował ogórki, gruszki, śliwki, kartofle, cebulę różnym przekupniom, którzy przybywali do miasta, a nie przedstawiali się w magistracie i nie uzyskali pozwolenia pana prezydenta na sprzedaż produktu. Jeszcze większem może zachowaniem cieszył się Szumara u pani Brzuchackiej, której spiżarnię i kuchnię zawsze umiał dobrze zaopatrzyć. To też mawiała ona do małżonka swego:

— Ten Szumara jest nieoszacowanym policyantem.

Żydzi, przybywający z Działoszyc lub Pińczowa z przeróżnemi towarami, wiedzieli, co to jest w Skalbmierzu Szumara; więc też nie robili nigdy żadnych utrudnień ani targów, ale jak go tylko ujrzeli przy swoich kramach, wsadzali tu czempredziej w łapę czeskie, dziesiątki, złotówki. Niechoby który oponował! Szumara umiał wszystkiego ściśle dopilnować i niezawodnie swoje wydusić. Wiadomo, na jakim fundamencie się wspiera handlowa moralność, przeto łapówki tego rodzaju należy uważać niejako za wykup konsensu na oszukiwanie bied-



nego i łatwowiernego ludu. Szumara był też rodzajem kupca, handlował on swoim sumieniem, robił dobre interesa na nikczemności detalicznej. Zwyczajny złodziej wobec takiego jest jeszcze aniołem.

Kiedy teraz Brzuchacki zapytał o pogodę, szczywany policyant podniósł głowę do góry, popatrzył na gwiazdy, zbadał wiatr i rzekł:

— Pogoda będzie pewnikiem; wiatr się wykręcił, wieje z za kościoła od kanonii. Wytarło się niebo; może też Pan Jezus odmieni!”

Temu religijnemu nastrojowi Szumary towarzyszyło westchnienie, które niebawem zaraziło burmistrza i kancelistę. Jakichże to westchnień mają nieraz wysłuchiwać niebiosy. Wtém zdala dała się słyszeć trąbka pocztowa, mile brzmiąca wśród wieczornej ciszy.

— Ktoś jedzie ekstrapocztą! — zawołał Brzuchacki, zwracając prawe ucho w kierunku słyszanego dźwięku i zakładając za to ucho dłoń, jakby chciał powiększyć konchę uszną.

— Ktoś jedzie! — wtórował Cybuszkiewicz, który miał bardzo bojaźliwe serce i lękał się wszelkich niespodziewanych wiadomości.

— Ej nie! To nie ekstrapocztą, to sztafeta wali od Miechowa — rzekł policyant głosem spokojnym i pewnością nacechowanym.

— Sztafetaaa? — krzyknął burmistrz widocznie zaniepokojony.

— Sztafeeeta! — powtórzył przeciągle, drżąc prawie, kancelista.

— A juści sztafeta, nie co innego. — dorzucił upewniająco Szumara.

Oczekiwano w milczeniu przez chwilę. Głos trąbki zabrzmiał znowu przeciągle: Tra ta ta, ta ta ta, tra ra ra raaaa! Usłyszano wyraźnie odgłos kopyt konia. Sztafeta przybyła prosto przed magistrat.

Burmistrz, kancelista i policyant w uroczystem milczeniu sznurkiem przeszli do kancelaryi. Zapalono światło; Brzuchacki poważnie wyjął z futerału okulary i, trzymając w obu rękach depeszę, czytał; alié nagle upuścił papier na ziemię, wołając:

— Jezus, Marya, Józefie święty!... Co się dzieje! Jutro!... Jutro!... Do Skalbierza przyjedzie!...

Cybuszkiewicz i Szumara szeroko otworzyli usta, spoglądając na burmistrza, który wytrzeszczył zezowate oczy a wyciągnął obie ręce przed siebie. Komicznie zaprawdę wyglądał Brzuchacki tak przerażony, w

swobodnie rozpuszczonym watowanym szlafroku, z rozwartą na piersiach koszulą, w mundurowej czapce z gwiazdką i w okularach.

Cybuszkiewicz, jak wiemy, biurokrata małego ducha, nie wiedząc, co się stało, o mało nie zemdlał z przerażenia. Ale Szumara miał śmielszą naturę, podszedł stanowczym krokiem ku burmistrzowi i głosem nieustraszonym zapytał, jakby nigdy nie:

— Któż to przyjedzie, proszę łaski wielmożnego prezydenta?

Burmistrzowi tak silnie utkwiła w głowie wiadomość, iż mu się zdawało, że jego subiektywny stan powinien być znany wszystkim obecnym; przytem oburzył go spokój umysłu policyanta w chwili właściwej jedynie dla wzruszeń; przeto podskoczył gniewnie, krzycząc z całej siły:

— Jakto — kto?... Jakto — kto?... Czy nie mówię kto?... Nie słyszysz?... Jaśnie wielmożny Białosk... gub... rozumiesz!... Gawronie jeden!... Ośle jakiś!.. Jutro przyjeżdża!... Jutro!... Aj!! Jaki tu nieład w kancelaryi! Porządek robić!... Porządek!... Szumara, Cybuszkiewicz!... Porządek!... Słyszycie!... Porządek!...

Brzuchacki dech prawie stracił; mówił prędko, głosem urywanym; ochrypl, popadłszy w niesłychany afekt.

A niechże się też wielmożny pan prezydent uspokoi! — mówił znowu flegmatycznie Szumara, nie tracąc bynajmniej psychicznej równowagi; tymczasem Cybuszkiewicz, w najwyższym stopniu przerażony, całym ciężarem swego ciała oparł się o ścianę i daremnie przytrzymał ręką skaczące mu w głębi serce.

— Do porządku!.. — wrzasnął, jak oparzony Brzuchacki. — Do porządku!... Słyszycie gapie... Jaśnie wielm... gub... Biał... Zaraz mi do porządku!

Wyrazy następowały po sobie szybko, a ruchy rąk, nóg, głowy zdradzały wybuch nadmiernej gwałtowności.

Szumara jeszcze raz wysunął się naprzód, pragnąc widocznie upamiętnić swego zwierzchnika i rzekł podniesionym głosem:

— Żebym się tak na sto łokci w ziemię zapadł, jeżeli wiem, czego chce wielmożny prezydent!... Któż przyjeżdża?... Co mamy robić?... Przecie bez tego krzyku wszystko można poczynać.

— A ty kundlu! — wrzaśnie do ostateczności doprowadzony Brzuchacki.

— Jeszcze nie wiesz! Jeszcze nie rozumiesz!... A mores, a porządek, kanalski duchu!... Ja cię tu zaraz nauczę! —

I tupnął straszliwie nogą i zatrzęsł się cały, aż mu okulary spadły z nosa i głosem grzmiącym, przeraźliwym ryknął prawie:

— Do porządku!... Psi flaku!

Nie pozostawało dla policyanta nic innego do zrobienia, jak tylko zabezpieczyć swój organizm przed dalszemi następstwami tego wybuchu o dynamitowej sile. Dobrze i w porę zastosowana rejterada jest też gatunkiem tryumfu. Gdy się Szumara wynosił "extra muros", Cybuszkiewicz, przyklepiony formalnie do ściany, jęknął przerażająco, jak człowiek, którego w chwili konania straszny widmo śmierci.

Krzyki takie, wyprawiane w kancelarii magistratu, miały w Skalbmierzu doniosłość dużego politycznego faktu. Przecho dzący mieszczanie stawali pod oknami, topiąc ciekawie spojrzenia wewnątrz przybytku władzy. A że mieszkanie państwa Brzuchackich znajdowało się w tej samej sieni po drugiej stronie kancelaryi, zatem pani burmistrzowa, słysząc niezwykle zgiełk w miejscu urzędowem i nie wiedząc, co się święci, podeszła pod drzwi właśnie w chwili, kiedy Szumara wykonywał swój pe-

ten powodzenia odwrót. Pani Brzuchacka była osobą drobną, otyłą, posiadającą piskliwy organ głosu. Obok dostojnego swego małżonka wyglądała ona jak wyspa Man przy Wielkiej Brytanii. Spotkawszy się z policyantem, który przez troskliwe zamknięcie drzwi za sobą zyskiwał warunki spokojnego życia, zapiszczała dyszkantem:

— Co się tam dzieje w kancelaryi, bójcie się Boga? . . . Takie hałasy!

— A bo to ja wiem — rzecze Szumara. — Sztafeta jakaś przysła z Miechowa i pan prezydent tak się strasznie przez to zawziął, wrzeszczy jeno, o mało mię nie pobił. Niech Pan Bóg broní; wszystko się człowiekowi uprzykrzy w takim rozgardyasie.

— Święty Panie! Czy aby nie dymisya, lub translokacya! — Krzyknie pani burmistrzowa. I weszła do kancelaryi.

Jęk Cybuszkiewicza, widok małżonki, wyglądającej jak rumiana legumina obłana śmietaną, nieobecność policyanta, protestującego przeciw wszelkim żywym uczuciom, wszystko to sprawiło, że Brzuchacki począł przychodzić do siebie. Mruknął coś jeszcze pod nosem, potem zaczął uspokajać Cybuszkiewicza, a nareszcie przyzwał policyanta na naradę. Teraz dopiero z właściwym sobie taktem i pogodą duszy wytłomaczył szcze-

gółowo, iż d e p e s z a , przywieziona przez sztafetę z Miechowa, zawiadamia o przybyciu do Skalbmierza wielkiego dygnitarza i zwierzchnika z gubernii, który objeżdża właśnie miasta i miasteczka w powiecie miechowskim.

Szumara, wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, rzekł:

— Szkoda! Pogoda jutro będzie na pewno, a tu cały jarmark na nic.

Brzuchacki tym razem milczał, Cybuszkiewicz westchnął głęboko.

Jak przyjąć wysokiego zwierzchnika, urządzono w kancelaryi jeszcze tej samej nocy.

---

#### 4. Poranek.

Burmistrz miał w nocy sen niespokojny, aż nareszcie zasnął bardzo twardo; Szumara, który był skrupulatny co do rannego wstawania, przybył o świcie, aby zbudzić Brzuchackiego. Zapukał kilkakrotnie do drzwi, wołając półgłosem:

— Wielmożny panie, wielmożny panie!

A gdy Brzuchacki zapytał:

— Co to takiego?

Szmura odrzekł:

— Czas wstawać! Już dzień na niebie,  
jak wół.

Cybuszkiewicz spał jeszcze gorzej;  
trwoga miotała nim nieustannie. Nad sa-  
mem ranem ledwie co zasnął, aż tu Szumara  
pięściami począł młócić w okiennice, woła-  
jąc już mniej grzecznie jak na burmistrza:

— Panie Cybuszkiewicz! Panie Cybusz-  
kiewicz!... Pan Jezus świta.

Przypatrzmy się teraz, jak wygląda po-  
ranek na lubej Skalbmierskiej ziemi.

Różowo - palca jutrzeńka wjeżdża na  
niebo. Światło jej pochodni drżącym pło-  
mieniem oblało obłoki. Zbudzone kwiatki  
główki swe barwne uniosły w górę; muszki  
brzęknęły wśród listków; ptaszek się oc-  
knął w krzewinie, otrząsnął z rosy skrzy-  
dełka i śpiewać począł. W jeziorze rybki  
plusnęły wśród toni, w trzcinach zaświer-  
gotały jaskółki i biała mewa wzniosła się w  
górę. A błądzący sierp księżyca jeszcze jak  
martwy patrzył na ziemię. Za nią Aurorą, w  
śląd goni Helios na czterokonnym rydwani-  
nie. Kędyś daleko powstał z oceanu i jasny,  
uroczy przebiega drogę po naszym niebie.  
Cześć Ci, o Królu, Panie wielki! Pod twym  
ognistym promieniem spojrzeń nasza dzie-  
wicza matka ziemia, przeszyta wzrokiem  
miłości, drgnęła płodności siłą i wydała nas



wszystkich z siebie, przyrodę całą. Jak Go nie witać Tworcę i Wskrziesiciela! Z za gaju naszego, ponad sędziwe dęby i płaczące brzozy wysuwa się pełen nieźrównanej chwały. O słońce, słońce! Cóż dziś przynosisz oblubienicy swojej, rosą łez gorzkich spłakananej, biednej ziemi?... Jakiemże będzie południe i wieczór dla dzieci jej, tej wdowiej Nioby?

Zajaśniały niwy przepyszny blaskiem od oblicza pana światła. Pełne kłosy zrzucają z siebie wilgotną rosę, prostują swą postać, głową ku niebu patrząc. Skowronek porwał się z pod bryłki ziemi i w tańcu radosnym bieży ponad gniazdkiem drobnej, ukochanej dziatwy; pienia coraz żywsze, radosne z ust jego nie schodzą. Śpiewaj ptaku Homerze czarnego ludu, nad mogiłami Homerów ludzi! Sądzisz, że zamilkł? Nie, on nuci ciągle, niestrudzony, daleko w górze, on pieśni dokończyć nie może tu nisko na padole. Bo czyżby, inaczej, tak śpiewał i śpiewał?... Opodal od niego drugi i trzeci. Pełno skowronków nad niwą. Powietrze ciepłe, światłem drżące, laurem zalane. Wśród kłosów żyta piaskowego wynurza głowę dziewanna o bladej barwie i bladym połysku liści; czarne chrząszczyki ją obsiadły; w tych kwiatach mają całą swoją ojczyznę: tu się

rodzą, żyją, mnożą i umierają. Błysnęły zielonem kobiercem łąki, smugi i miedze pomiędzy łanami. Zabrzmiała w trawach muzyka pianissimo drobnych muszek i stworzeń, zaledwie okiem dojrzanych. Ptaki jedne z nocnej pracy udają się na spoczynek, inne dzienny trud rozpoczynają. Dwa kruki zasiadły na samotnym kopcu i jeden drugiemu coś przykrakuje; zerwały się, spiesznie szybują, słysząc tylko chrapliwe wołanie: "kra! kra!" Jastrząb stanął w powietrzu na skrzydłach, a bystrem okiem tropi zdobycz wśród traw i zboża. Lotem strzały od lasów pruje w pola para siwych gołębi. Zabrzmiały gaje radosnemi śpiewy. Gwiżdże kos czarny, a złota wilga mu przedrzeźnia. Kukułka raz po raz woła, dzięcioł opukuje drzewa. Kwilenie drobnych ptasząt sprawia szum śpiewny. Na zielonej polance zeszyły się zajączki młode, wesoło igrają wobec matki; jeden na tylnych skokach przystanął słupka i rozgląda się w około wśród kwiatów a ziela, drugi ścina smaczne szczywie, a inne znowu, podskakując, kicając, gonią się uciesznie. Zwyczajnie, jak dzieci! Dalej, para turkawek na brzegu leśnego strumienia używa kąpieli i pije śniadanie. Na wyścigi z dzięciołami poszukują żeru za korą drzew bargły i pełzacze.

Lud zdąża na jarmark przednowkowy; ciągną pojedynczo i gromadkami. Tam z prosiakami dziewczucha rady sobie dać nie może, nieustannie zbiegają jej z drogi. Tu znowu gospodyni ciągnie za sobą krowę, przywiązaną rogami do powroza, a ośmioletni chłopiec popędza wiśniochę prętem za panią matką. Dalej trzęsie się w półkosz-kach na wozie kupka gwarzących ludzi, a z tyłu poza nimi wygląda głupowata głowa skrzepowanego cielaka, który od czasu do czasu tęskliwie pobekywa za matką. Owdzie żrebak wyprawia płasy po drodze, dopędzając wóz skrzypiący pod górę. Gdzieindziej dwaj gospodarze, kurząc fajki, rażno podążają, a ku większej oszczędności dźwigają na plecach buty, przywiązane do kijów. Żydek bosy, obdarty, z workiem na plecach przebiera się ścieżką ponad wąwozem. Tam wóz się toczy ze sitami i przetakami, ogrom wielki, lecz ciężar nieznaczny; za nim inny, wyładowany worami zboża. Z dworska przybrany stangret z galonikiem na czapce sadzi na dzielnym koniku, trzymając w ręku koszyk na listy, gazety i sprawunki. Na krakowskim wózku jedzie widać pani ekono-mowa, czy gorzelniana; z waszecia przebra-ny szynkarz przysiadł się do gospodarza na

tyle wozu. Żebrak kaleka z torbą i kijem gramoli się jak może. Pogoda piękna, ale błoto duże, bō deszcze ciągle lały od świętego Pankracego.

Dobrzy ludzie! Sprzedajcie dobrze i kupujcie szczęśliwie!

---

### 5. Nie widać karety.

Brzuchacki zaraz z rana poleciał ustawić na wzgórzu ku Miechowi rodzaj czat albo pikiety, któraby w razie ukazania się powozu dawała niebawem wiadomość w magistracie. Jakoż chłopak, patrolujący na pagórku, w parę godzin wpadł zziąjany do magistratu, jak bomba, opowiadając, iż “jakaś ogromna landziara wlecze się po blocku od Miechowa”. Burmistrz, w stosownym kapełuszu, w galowym fraku, przy szpadzie, w rękę trzymając z wielką pompą parę łosiowych rękawiczek, czynił właśnie rozmaite uwagi kanceliście, policyantowi, oraz w godowe szaty przyodzianym ławnikom, jak się to należy zachowywać wobec wielkich dygnitarzy i zwierzchników. Brudna zwykle kancelarya przemieniła się teraz w bardzo czyściutką izbę.

Na widok spoconego gońca Cybuszkiewiczowi źle się zrobiło; ale Brzuchacki wy-

słuchał poważnie doniesienia, poczem wyprostował się i rzekł z godnością:

— No, teraz właśnie czas, abyśmy pokazali, że Skalbmierz umie oceniać wysoką godność dygnitarzy; nawet wśród tak nieprzyjaznych okoliczności, jak jarmark.

Z temi słowy sunął okazały mąż naprzód, wypytując po drodze Szumarę migami i półgłosem, czy poczta, sąd, szkoła, plebania i apteka są już należycie uprzedzone, oraz przygotowane do mającego nastąpić aktu przyjęcia.

Szli teraz w kierunku, skąd się spodziewali przybycia oczekiwanego gościa. Orszak zwiększał się nieustannie; przyłączył się do niego ekspedytor pocztowy i jego sekretarz, urzędnicy sądowi i woźni, proboszcz z wikarym, aptekarz, nauczyciel szkoły elementarnej na czele uczniów, kominiarz i dwóch kominiarczyków. Z dostojniejszych mieszczan skalbmierskich wielu wystąpiło w świątecznych granatowych i ciemnozielonych długich kapotach. Nie było atoli wśród nich Trykalskiego, bo ten miał się zająć przygotowaniem dobrej poledwicy, na wypadek, gdyby dostojnik gubernialny zapragnął w Skalbmierzu przekąsić.

Tak wyszli wszyscy za miasto na drogę i zwrócili ciekawe oczy pod górę, z poza

której miała wkrótce wyjechać kareta. Oczekiwano z niecierpliwością, którą daremniebym się tu silił opisywać. Po półgodzinnem blisko oczekiwaniu, wyteżaniu oczu i naprężaniu narzędzi słuchu, wśród bezprzykładnie wzorowego zachowywania się szkoły, jako też całego grona, pierwszy ekspedytor pocztowy przerwał uroczystą ciszę.

— Zdaje mi się, że ktoś jedzie za górą!

Na te słowa Szumara położył się na drodze jak długi, przyłożył ucho do ziemi i pilnie badał, słuchając. Wstał, a wszyscy patrzeli nań jak na wyrocznie, przechowującą w uchu swoim tajemnicę. Ale Szumara miał w prawem uchu tylko nieco błota. Widząc zwrócone ku sobie oczy osób najdostojniejszych w Skalbmierzu, policyant rzekł z pewnem poczuciem wyższości:

— Wyraźnie słyszałem parskanie koni za górą!

Wtem na szczycie góry ukazały się niewyraźne zarysowane dwa łby końskie, jakby wychodzące z za góry. I długo było na górze tylko same owe łby końskie...

— Ależ pracowicie ciągną biedne koniska — rzecze ekspedytor pocztowy.

— Nie dziwnego — wtrącił Brzuchacki. — Toż od świętego Pankracego nie by-

ło ani jednego dnia pogody; taki to u nas klimat, błocisko i nic więcej.

Uwadze burmistrza towarzyszyło westchnienie mocno wybladłego kancelisty.

Para koni stanęła wyraźnie na szczycie góry. I znowu nic więcej nie było widać, prócz tej pary koni.

— Jeszcze cztery konie z kareta pozostały za górą — mówił pisarz pocztowy, przeprowadziwszy poprzednio w umyśle rozumowanie, że skoro kareta miała być sześciokonna, więc na górze brakuje jeszcze czterech koni i karety.

— Czy aby kareta nie ugrzęzła w błocie? — zagał pokornie aptekarz.

— Gdzie znowu! — odparł opryskliwie Brzuchacki. — Dawno to szarwark naprawiał w tem miejscu drogę!

Szumara spojrział na burmistrza jak wilk, z podełba z lekkim odcieniem szyderczego uśmiechu, bo szarwark pracował wprawdzie przed tygodniem, ale nie przy naprawie drogi, jedno przy okopywaniu kartofli p. Brzuchackich.

Kto podróżował w porze deszczów po skalbmierskim lub proszowskim, ten nas nie posądzi o przesadę opisu wjeżdżania mniemanej karety pod górę.

Druga para koni nie ukazywała się już wcale; ujrzano tylko jakąś ogromną, szeroką i wysoką czarną masę, ociążale wleczoną przez dwa konie.

— Co to takiego być może? — pytał burmistrz, korzystając z pomocy dłoni, w kułak zwiniętej — jak mi Bóg miły, nie mogę tego wszystkiego zrozumieć.

— A cóż zaś ma tu być do zrozumienia rzeczy obojętnie Szumara. — Zwyczajnie, ot Josek, żyd z Wolbroma wiezie furę skórek bydłęcych do garbarni w Złotej.

Jakoż tak było, albowiem policyant zawsze obserwował dokładnie i wnioskował ściśle.

Cybuszkiewicz odetchnął teraz swobodniej, gdyż żyd ze skórkami nie był dla niego wcale nadzwyczajnem zjawiskiem.

Zostawmy całe grono skalbmierskiej śmietanki, wyczekującej na karetę pod miastem, a sami udajmy się na rynek i zobaczmy, jak idzie jarmark.

Dosyć powiedzieć, że po licznych zawodach karetą nareszcie przybyła.

---



## 6. Pies wściekły.

Szybko podsychało błoto na rynku, jarmark udał się wybornie. Chmiela miał dużo zajęcia, nieustannie ktoś potrzebował jego pomocy. Biegał on z rynku do sklepów, odnosił zakupione towary na bryczki i wózki, oddawał stangretom, przynosił im strawne, na wódkę od panów, zajętych interesami kupna lub sprzedaży. Wśród tej bieganiny Szymek zapomniał o tem, że nie jadł od rana i pies jego również. Kudła, dopóki mógł, uwijał się różno na trzech nogach za swoim opiekunem i chlebowawcą; ale w końcu głód i utrudzenie sił go pozbawiły; wlaźł więc pod chłopską furę, stojącą przy wjeździe w rynek i postanowił nie być czynnym. Ta pozornie mała okoliczność rozwinęła się w następstwie w szereg wypadków, mających wielki a niepomyślny wpływ na dalsze losy jarmarku tak szczęśliwie rozpoczętego, choć bez udziału Brzuchackiego i Szumary.

Kudła leżał pod wozem markotny, a nawet zgoryczony, położył głowę wzdłuż na wyciągniętych przed siebie przednich łapach i szeroko otwartymi oczyma spoglądał w stronę najbardziej ożywionego jarmarcznego ruchu. Parę razy warknął na prze-

chodzących, a zbyt blisko ocierających się o furę. Jaki taki, spojrzawszy na psa, usuwał się ostrożnie, mniemając, że to strażnik cudzej, powierzonej mu własności. Oprócz głodu i znużenia, był jeszcze inny wzgląd, który podniecał czujność i gniewliwe usposobienie Kudły. Gospodarz Dzierżni, do którego należała owa fura, włożył był na sam spód wozu świeżo zakupione w mieście sadło i sprawunek ten przytrząsnął z wierzchu sianem. Przyroda atoli obdarzyła Kudłę nader czujnem powonieniem. To też ilekroć razy zamrużył oczy, biła ku niemu jakaś arcyprzyjemna woń, i nie dawała mu zasnąć. Trzeba bowiem wiedzieć, że czem jest w takich razach dla człowieka nerwowego turkot dorózek po miejskim bruku, tem jest dla psa — sadło. Kudła nie wiedział, dlaczego musi obliżywać się nieustannie, a smaczna ślinka ciągle mu też do ust płynęła. “Ha!” mógł pomyśleć — “Jarmark! Ludziska dobrze jedzą po mieście, a do mnie same tylko zapachy powietrzem przychodzą. Ale nie zawadziłoby może dla prostej teoretycznej ciekawości zwietrzyć, w której to stronie tak dobrze się dzieje.” I zaczął wachać dookoła. Wszędzie było pełno atmosfery sadlanej, lecz głównie pod wozem, u samej góry płynęły prądy przyjemnej woni. Pies Chmie-

li bił się z myślami, a głód, jak wściekła zmi-  
ja szarpał mu wnętrzności. Każde postano-  
wienie woli objawia się przez pewien czyn,  
lub przez szereg czynów. Kudła pomyślał  
sobie: "Nie, dłużej tak być nie może; trze-  
ba coś przedsięwziąć". Bo wylazł z pod fury  
i wyciągnawszy w tył jedną jedyną nogę, a  
ku przodkowi obie przednie, przeciągnął się  
oraz ziewnął na psi sposób: "uaaaa!" Ale  
cała okolica wozu pełną już była lubej woni  
sadła; człowiek by nawet poczuł; cóż dopie-  
ro pies. Kudła wyciągnął głowę i zaczął wie-  
trzyć — w prawo, w lewo, naprzód i za sie-  
bie. Niema co się długo namyślać, widoczna  
predylekcyja ciągnie do wozu i do wozu mi-  
mowolnie przykuwa węchowy aparat. Ja-  
kaś niezrównana przyjemność rozlała się po  
błonach nosowych psa, oczy rozkosznie  
przymknęły się do połowy, gdy wciągnął w  
siebie całą duszą zapach sadła, stojąc przy  
samym półkoszu i trzymając przy nim ko-  
niec nosa. Pokusy tego rodzaju sprowadza-  
ją nieraz i człowieka z drogi cnoty, więc się  
nie dziwny głodnemu Kudle, którego upo-  
jenie doszło wreszcie do zenitu; oczy roz-  
twarły mu się szeroko, błysnęły cheiwością,  
uczucie przyjemności przeszło wszystkie  
swoje stopnie i przemieniło się w żądzę po-  
siadania.

Na wieśniaczej furze siedziało sześciolate  
nie chłopię, przykryte na głowę tatusiową  
sukmaną, tylko mu z pod tej sukmany oczy  
wyglądały, któremi dziecko patrzyło niespo-  
kojnie na uwijającego się koło wozu Kudłę.  
Konie naszelnikami tylko przywiązane do  
dyszla, zjadały siano, porzucone na ziemi,  
dzwoniąc od czasu do czasu żelaztłem w  
swojej uprzęży. Dziecko żuło też ośliniony  
kawałek białego chleba. Wszyscy tu jedli o-  
prócz Kudły, który przecież był może naj-  
bardziej łaknącym. Odsadził się on teraz na  
swojej tylnej łapie, wskoczył na drążek,  
przywiązany do podkulka, a z drążka pro-  
sto na furę. Dokładnie zrobił obserwację,  
więc nie potrzebował po furze macać i do-  
myślać się, gdzie leży sadło. Grzebnął parę  
razy przednią nogą, wyrzucił z wozu kupę  
siana i znalazł się twarz w twarz z tak go-  
rąco upragnionem sadłem, a nawet nieba-  
wem przyłożył zęba do tej nieporównanie  
smacznej delicyi. Ale chłopskie pacholę ba-  
czyło uważnie na całe zachowanie się Kudły,  
na podręczu miało przy sobie krótki bicz,  
opatrzone znaczną ilością grubych i zna-  
cznych węzłów, zwyczajnie, jak chłopski  
bat na konie, wysmarowany smołą.

—Pójdiesz stąd, psie! — zawołało na-  
przód dziecko.

Głos ten przestraszył trochę psa, bo dotąd nie spotrzegł wcale pochołęcia na wozie. Przekonawszy się jednak, że to nie żaden człowiek, jedno kupka jakaś nakryta sukmaną, Kudła warknął zuchwale od sadła. Dziecko ze wsi jest śmiałe i psów się nie boi, więc z siedzenia na przodzie ku tyłowi fury świstnął bat i na grzbiet Kudły spadły grube a twarde węzły. Tego już było za wiele dla psa, roznamiętnionego pożądlivością sadła, żeby jakieś bobo, istny komar, robaczek śmiał mu urągać i stawiać przeszkody w osiągnięciu ważnych celów życia; więc wyskoczył na trzech nogach z siana i rzucił się zapalczywie na dzieciaka, przewrócił go i tarzając, począł szarpać. Dzieciuch się rozbezczał, rozwrzeszczał na całe gardło, chociaż pies nie mógł wcale zębem przejąć grubej sukmany.

Nad dzieckiem, zwłaszcza też opuszczonym, wszyscy się ulitują i gotowi je bronić. W danej chwili prawie każdy uważa się za ojca wszystkich dzieci swojego społeczeństwa. Przeto ludzie, jarmarkujący w pobliżu fury, hurmem rzucili się do obrony malca. A że nikt nie wiedział poprzednio przez nas opisanych faktów, zatem wnioskowano z najwyższą pewnością, iż na jarmark przybyło jakieś "niedobre psisko", czyli pies

wściekły. Kudła już na wozie oberwał parę guzów, ale lud gniewa się srogo i odpłaca wszelkie krzywdy z nadmiernym procentem bez litości. Każdy śmielszy junak chwycił za pokulek, za drążek od wozu, łamano kołki w płocie i ścigano Kudłę przez rynek jak ostatniego zbrodniarza z krzykiem wielkim: “O ha! O ha! Pies wściekły!... Pies wściekły!”

Przewracały się baby wśród ścisku i z okrutnego strachu, a jedni drugich spotykali, potracali, deptali, rozbijali. Tłumy zapchały bramy, niektórzy powłazili nawet na dachy; bo któż się nie obawia psa wściekłego?

Kudła zmykał pod wozami i rzucał się właśnie w gęstsze zbiorowisko ludzi, bo w ten sposób tylko mógł ocalić grzbiet od ciosów srogich prześladowców, których ilość rosła z każdą prawie chwilą. Biedny pies nie miał domu, więc nie mógł się schronić na własne śmiecie. Przypadł pod figurą św. Antoniego, gdzie nieraz przesiadywał z Chmielą, ale obecnie siedział tutaj przybyły na jarmark, żebrak i ten dotkliwie ugodził psa sękatym kosturem. Zewsząd wyparty, z rozpaczycy puścił się na miasto ku rzece, a prześladowcza tłuszcza pędziła za nim także w tę stronę. Tutaj nad brzegiem Nidzi-

cy, doprowadzony do rozpaczyny Kudła, stanawszy tyłem do wody, wyszczerzył strasznie zęby, wywarł na wierzch wściekłe oczy, zjeżył sierść na karku i postanowił wydać drogo sprzedać swe życie.

Pies Szymka nie rzucił się wpław do rzeki, przewidując zapewne, że trzema łapami nie podoła prądowi wody.

Ileż to razy na świecie pies wściekły jest właśnie takim urojeniem!

---

## 7. O wołu poszło.

Zamęt powstały na jarmarku z powodu psa jakoby wściekłego powiększył się jeszcze wskutek innego wypadku.

Na jarmarku to tak, jak na świecie: zawsze ludziom chodzi o kawałek chleba, lub o kawałek mięsa. A pod tymi konkretnymi motywami ukrywają się jednak wielkie idee, wzniosłe uczucia i znakomite czyny.

Trykalski postanowił w dniu tym zasłynąć dobrą poledwicą. Od rana przechodził z jednego targowiska na drugie, zakupując barany, krowy, wieprzki i cielęta. Po każdym zaś nabytku należało co wypić w miej-

scowej cukierni. Nie można powiedzieć, żeby się nasz rzeźnik upił, ale zapruszył sobie głowę i ostatnie zakupy robił niezbyt oględnie. Stał na bydłecem targowisku wół, widocznie ciężko spracowany w jarzmie; był to przeżuwacz duży, płowy, na wysokich nogach, z rogami naprzód podanemi, z kłapciastemi uszyna, z bokami i ogonem pełnemi narosłej nieczystości, z racicami wypracowanemi tak, że jeden palec od drugiego daleko odstawał, tworząc bifurkację mocno zbliżoną do kąta prostego. Rolnik jakiś podpał bydłę bliskie skonu i wyprowadził na jarmark. Tak się robi na wsi. Trykalski niewiadomo z jakiej przyczyny zapalił się do tego nędzarza. Obchodził go, obmacywał na wszystkie strony, zaglądał podejrzliwie w nos, w gębę, uderzał ręką w łałok pod gardłem; wół stał cierpliwie, chłoszcząc się po biodrach ogonem, pokrytym jakby ziarnami bobu i sprawiając przez to szczególnie suche chrząszczenie i grzechotanie.

Przyszło do zgody: nabywca rzeźnik i sprzedający chłop wyciągnęli ku sobie prawice i jeden drugiego uderzał silnie dłonią w dłoń. Trykalski dobył z zanadru czerwona chustkę, w której nosił mamonę tego świata i odliczył gospodarzowi na rękę własność wołu; przyczem umówiono się o wypi-



cie kubka w cukierni Ślamy. Bydlę, ani wiedziało, że zmienia nabywcę, kiedy rzeźnik przyskoczył do niego, dał za postronek parobkowi sześć czeskich i zabrał wołu, jak swego. Temu zesztyniały stare nożyska na staniu, więc siłą swej bezwładności stawiał opór energicznym ruchom rzeźnika. Atoli Trykalski, rzeźnik z dziada pradziada, umiał prowadzić swoje ofiary, pobudzając je ciętym pręcikiem. Prawdziwie tragicznie wyglądał ten wół, kołyszący się na wysokich nogach, a nawpół opierający się rzeźnikowi. Jaki taki przystawał po drodze, obserwując bydlę, robiąc przytem głośno uwagi o jego wartości.

Ludzie lubią się przyglądać człowiekowi handlującemu żywym pokarmem zwierzęcym. Zwłaszcza też chłop, tak rzadko jada mięso, iż przybywszy do miasteczka, wynagradza sobie poniekąd długie posty, napawając wzrok swój widokiem jatki i rzeźnika. Tak i teraz właśnie, choć wół był jeszcze w skórze, ale towarzyszył mu rzeźnik; ta kombinacya mimowoli wywoływała na usta ludzi pytanie: "Co też za pociecha będzie stąd dla ludzkości?" Ten rodzaj materializmu nie zniknie podobno z oblicza ziemi, dopóki ludzie będą głodni.

Trykalski z natury swej i z rzemiosła był człowiekiem ambitnym, wyniosłym, zarozumiałym, klientów swych traktował szorstko, a nigdy nie znosił uwag, które sobie niektórzy ludzie pozwalali robić nad jego towarem. Gdy go więc znajomi spotykali i zapytywali, ile dał za wołu, odpowiadał z początku półgębkiem, czasem nawet przystawał i rad był pytaniu, bo go widocznie nużyło wleczenie za sobą na powrozie uparłego wołu. Skoro się atoli zapytywania takie, uwagi, i wydziwiania na wołu powtarzały zbyt często, w trakcie przejścia od targowiska do rynku, rzeźnik wpadł w gniew i fuknął na niektórych:

“Kiedyście mądrzejsi od Trykalskiego, to idźcie na targowicę i kupcie lepsze bydłę!”

Albo znowu:

— Oj, ludzie, ludzie, gdzie też u was pomiarkowanie w głowie! . . . Dziwno im, że człowiek na gałgańskim jarmarku chude woły kupuje.

Ale tego dnia był jakiś uwziątek na Trykalskiego. Niektórzy na boku tylko przyganiiali:

— A to się orznął!

Inni przystępowali wręcz, zachodząc drogę i pytając:

— Cóżście panie Mateuszu dali za tego suchego drągala?

Słyszący takie pytanie inni ludzie, ironicznie odpowiadali:

— Musiał kupić przez litość, żeby chłopu bydłę w drodze do domu nie zdechło.

Ktoś nawet śmielszej natury stanął rzeźnikowi na drodze i rzekł:

— Któż was też ubrał w takiego wielbłąda, jak świat światem niewidzianego w Skalbmierzu?... Siła też płaci?

— A co tam komu djabli do tego! — odparł zirytowany rzeźnik, — Com dał, tom dał! Com kupił, tom kupił. Psiego ogona pilnować, nie mojego bydła!

Już tak po drodze rozdrażniony rzeźnik dotarł nareszcie do rynku i przechodził z kolei około kramów Margochoy i Brychy, które panując pod stosami świeżego, błyszczącego pieczywa, odwróciły się od siebie fizyognomiami, tworząc dartego orła. Margocha pierwsza spotrzegła Trykalskiego, z dużym wołem; zaświerzbiał ją okrutnie język. więc nie mogąc się pohamować, niby to na wiatr, rzuciła z uśmiechem takie słowa:

— Na cukier posłać takiego habeta, nie mordować na mięso dla ludzi!

Było to hasłem rzuconem, by zwrócić uwagę Brychy. Ta rzuciła okiem na przecho-

dzącego rzeźnika i rozpoczęła swój paroksyzm śmiechu, brzmiącego grubo, jak turkot wozu, a idącego przez wielką gardziel przekupki z żołądka. Był to szczególny dźwięk, przypominający najlepiej może szybko i gwałtownie gotującą się gęstą kaszę w kotle. Szydarczy śmiech przeszył na wskrós duszę Trykalskiego.... Najprzód rzucił w stronę kramów piorunujące spojrzenie. Śmiech się rozlegał i pobudzał jego drażliwość. Rzeźnik przeto stanął frontem do kramów zwrócony, mając po za plecami olbrzymiego wołu, który się spokojnie obliżywał szerokim ozorem.

— Nie możecie wy baby pilnować bułek i jajec! — krzyknął donośnie rzeźnik — Miałbym się też kogo radzić, co mam robić, jeno takich przekupek!... jeszcze co!....

Nie zdołał dopowiedzieć wyraźnie ostatnich wyrazów, a już Półtoraczna zerwała się na swoim zydłu i podparłszy rękami imponująco oba boki, puściła w ruch biegły język:

— Widzisz go, jaki lala! Trykala!.... Przekupki by się nie radzi!... A cóżto przekupki nie obywatelki?...

— Oooo! Obywatelki do sprzedawania flaków!.. — ryknął Trykalski wśród zgiełku, a te słowa jak bomba ugodziły prosto

w serce i drugą przekupkę, która porwała się teraz z kolei, wrzeszcząc na całe gardło:

— A ty sadlarzu jakiś, świniobójco! krowignacie! Ty urwipołciu! Ty, co masz sumienie sprzedawać ludziom krowie kolana i ogony zamiast mięsa; jeszcze ty będziesz uczciwej duszy paskudztwa wrzucał do uszu!... A pójdziesz mi ty zaraz!.. A wara od przekupek!...

Trykalski zbladł straszliwie z gniewu. Srogo cierpiała jego miłość własna. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkała go tak dotkliwa obelga w rodzinnem mieście. On, co nade wszystko cenił cześć swego fachu, został tak haniebnie znieważony wobec mnóstwa ludzi, którzy zaniepokojeni sporem, zebrali się już dokoła. Zacisnął więc zęby, podniósł do góry rękę, uzbrojoną prętem, splunął przed siebie i z ust wyrzucił te ciężkie słowa:

— Stulcie gęby, przeklęte czarownice!  
Pospólstwo parsknęło śmiechem, jakby zachęcając rzeźnika do dalszej walki, on też niebawem rozpoczął jeszcze lepsze wymyślanie. Ale zanim zdążył uwydatnić mowę swoją, Stępniaiczka cisnęła weń ze straganu stary garnek z popiołem; trzop, który stawiała sobie zimową porą pod zydlem, aby rozżarzonemi węglami rozgrzewać zziębłe człon-

ki dolnej części organizmu. W ślad za garnkiem wypadł z drugiego straganu pocisk równie groźny, jak garnek, był to gruby pniaczek, który sobie tłusta przekupka podstawiła pod nogi, aby utrzymywać na zrydlu w równowadze swój poważny organizm. Różnymi były losy tych narzędzi zemsty. Garnek bowiem w pędzie zawadził o głowę Trykalskiego, zwałił z niej czapkę, a popiół zasypał mu oczy, usta i uszy. Tymczasem pieniek, używany przez Brychę za podnóżek, zgórował ponad głowę Trykalskiego, a spadając na wielkiego wołu, stojącego na tyłach rzeźnika, ugodził zwierzę w bardzo ważny organ życia, bo w kolumnę pacierzową. Chudy ssak może i sądził, że to zamach na jego całość, dosyć, iż drgnął na ciełe, a niewiele myśląc, bodnął silnie swojego przewodnika i przyszłego kata również w kolumnę pacierzową. Rzeźnik rażony z przodu i z tyłu, nie był w stanie oprzeć się tyłu wstrząśnieniom i, ulegając kierunkowi siły o wyższem naprężeniu, runął na twarz w błoto. Duże bydlę przebiegło teraz po jego ciełe, uchodząc i trwożliwie rycząc.

Zwyciężony Trykalski zerwał się z upadku na równe nogi, najpierwszą zaś jego myślą było odzyskać przeplaconego woła, przyczynę tyłu posepnych zdarzeń. I roz-

poczęło się ściganie wołu właśnie w chwili, gdy przy furze chłopca z Dzierążni zabrzmiały odgłosy: “Pies wściekły! Pies wściekły!”

A tak jedna część jarmarkujących uganiała się za wołem, zmykającym ku wsi Kobylnikom, podczas, gdy druga rozpoczęła prześladowanie Kudły, który przebiegłszy znów rynek, gnał ku rzece. Ludzie, co nie byli ani przy zajściu przed straganami, ani nie przyjmowali udziału w polowaniu na psa nie mogli się zorientować w wypadkach. Słyszeli oni tylko mowę jakąś o psie wściekłym, o Trykalskim, przekupkach i o wołe; kojarząc zaś ten chaos pojęć w jakibądź logiczny wniosek, każdy człowiek na jarmarku drogą bardzo zwykłego i koniecznego rozumowania dochodził do przekonania, iż pies wściekły pokąsał rzeźnika, przekupki i wołu. Powyższego zdania trzymało się przynajmniej dwie trzecie jarmarkujących.

Takiem jest niestety, wszelkie dogmatyczne twierdzenie, nie poparte żadnym świadectwem ścisłej obserwacji i doświadczenia.

---

## 8. Wizyta w szkole.

Dygnitarz z gubernii wraz z naczelnikiem powiatu postanowili zwiedzić ważniejsze zakłady w Skalbmierzu. Nauczyciel z gromadką uczniów powrócił do budynku szkolnego, gdzie też oczekiwano zapowiedzianej wizyty. Pan Plastrusiński mawiał o sobie z zarozumieniem, że zjadł zęby na bakalarce i że takiego, jak on nauczyciela, daleko szukać trzeba. W Skalbmierzu i w okolicy wszyscy wierzyli temu. Bo cóż to kogo obchodziło? Teraz szanowny pedagog, spodziewając się za chwilę wizyty, i przewidując egzamin, puścił w ruch najlepsze siły szkoły. Z gorączkowym prawie pośpiechem powtórzono najgłówniejsze rozdziały Starego Testamentu: o Adamie i Ewie, o grzechu pierworodnym — o niespodziance, jaką zrobił ojciec Abraham synowi Izaakowi, skrupawawszy go sznurkiem i objawiwszy mu zamiar spalania — o przemieniu w słup soli żony Lota itd. Od tych zajmujących opowiadań przeszedł pan Plastrusiński do katechizmu, zwracając głównie uwagę na punkta najważniejsze, jak, co to jest wolna wola, dusza, grzech główny, cnota itd. Tabliczka mnożenia znalazła pomiędzy uczniami zna-



komitych reprezentantów. Byli tu niektórzy tak biegli w owej sciencyi, że na wrywki i bez zająknięcia odpowiadali nietylko na pytanie, ile jest siedem razy dziewięć, ale i dziewięć razy siedem. Nauczyciel w Skalbmierzu trzymał się bardzo ścisłej metody, mianowicie też dopóty uczniowi wali łapy tak zwanym liniałem, dopóki uczeń nie zrzekł się naukowych błędów. Wytrwałość na tym punkcie przyniosła owoc swojego rodzaju.

Upewniwszy się i obwarowawszy w fortecach wiedzy, p. Plastrusiński ze spokojem, a nawet z zadowoleniem oczekiwał wizyty. Jakoż nastąpiła ona prędzej, niż się spodziewano. Z dostojnymi gośćmi wszedł także do szkoły Brzuchacki, podczas, gdy kancelista i Szumara, kroczący w oddaleniu z tyłu, pozostali teraz na dziedzińcu.

Skalbmierski profesor ani sobie wyobrażał, ażeby można było egzaminować uczniów, rozwijając ciągle jedno tylko pytanie do nieskończoności.

Nie przypuszczał on również, ażeby pytanie z katechizmu: co to jest człowiek? mogło się równać z daleko ważniejszymi podług niego pytaniami: Co to jest dusza, lub co to jest grzech? Nie wiedział on też, że w odpowiedzi na jedno pytanie można już

mieć pewną miarę inteligencyi i wogóle duchowego rozwoju dziecka. Podług niego zdolnym był jedynie tylko taki uczeń, który na każde pytanie bez zająknięcia wyśpiewywał natychmiast odpowiedź, podaną w książce. Tymczasem, wbrew pedagogicznym pojęciom pana nauczyciela o metodzie, egzamin poszedł właśnie w kierunku jednego pytania i to małoważnego. Przez parę miesięcy po tem zdarzeniu, opowiadał on każdemu ze znajomych, jak można być wielkim człowiekiem, a nawet sławnym, nie mając przytem wyobrażenia o nauczaniu dzieci i prowadzeniu egzaminu.

Słuchano go z podziwem i mawiano następnie:

— Ten Plastrusiński, to mi główka śliczna! Ho! ho!

Egzamin tedy obracał się około pytania: co to jest człowiek? Dwojaki jest gatunek wiedzy ludzkiej: teoretyczny i praktyczny. Otóż z teoryi katechizmowej Plastrusiński doskonale wiedział, co to jest człowiek; ale mniej cenił ten umysłowy nabytek, występując z nim jedynie w nadzwyczajnych chwilach swojego życia. Natomiast z punktu praktycznego odpowiedź na pytanie — co to jest człowiek? — tak mu się przedstawiała: — Człowiek, to jest istota, która

się rodzi w Skalbmierzu po to, aby do 6-go roku życia pasać gęsi na podbłoniu miejskiem, następnie przez cztery lata chodzić do szkoły, gdzie się ma uczyć całego katechizmu, Historji świętej, tabliczki mnożenia i kaligrafii, potem istota tak uzacniona wstępuje do terminu — najlepiej u piekarza lub rzeźnika, a ostatecznie zostaje porządnym obywatelem, jak Trykalski. Bogaty rzeźnik był ideałem pedagoga ze Skalbmierza, jako człowiek, podobnie jak typem człowieka straconego był znany nam Chmiela. W rzadkich wypadkach człowiek ze Skalbmierza mógł zostać pisarzem na poczcie, aplikantem w magistracie, lub dostać się do seminarjum i wyjść na księdza.

Pan naczelnik powiatu Piątkowski, prowadził egzamin wobec dygnitarza; przywołał więc do siebie jakiegoś malca, pogłaskał po głowie i powiedział:

— Powiadz mi kochanku, co to jest człowiek?

Plastrusiński wyprostował się jak drut, był pewien tryumfu, albowiem pytanie, zupełnie tak samo sformowane, stało jak wół w katechizmie, a chłopak zapytany musiał je żywo mieć utkwione w pamięci, gdyż przez kilka dni z rzędu brał za nie okrutne łapy. Nauczyciel nie zawiódł się, gdyż chło-

piec otworzywszy raz usta, nie zamknął ich, aż jednym tchem wygłosił: “Człowiek jest to stworzenie Boskie, złożone z ciała i rozumnej duszy.”

Nauczyciel z dumą spojrział na ucznia swego i skwapliwie dorzucił jeszcze jedno z owych pytań, które uznawał za najważniejsze.

— Co to jest dusza?

Malec znowu puścił w ruch narządy głosowe, odpowiadając pośpiesznie:

“Dusza jest to, co w mojem ciele myśli i rządzi.”

Ale pan Piątkowski nie dał się zbić z tropu, i powrócił do pierwszego pytania, mówiąc:

— Powiedz mi, moje dziecko, czy widziałeś kiedy w życiu rozumnego człowieka?

Chłopak począł myśleć i przypominać sobie, czy pytanie takie stoi w katechizmie. Zapytany po raz wtóry, odpowiedział stanowczo:

— Nie, nie widziałem nigdy.

Zmarszczył się Plastrusiński, a po ustach egzaminatorów przebiegł lekki uśmiech.

Rzucono to pytanie całej szkole, która podzieliła się na dwa obozy, jedni twierdzili, że nie widzieli rozumnych ludzi, drudzy, że

ich widzieli, przytem niektórzy uczniowie pozostawali widocznie w wątpliwości.

— Jakże oni mogą mówić o rozumnej duszy, jeżeli nie znają przykładów rozumnych ludzi. — Przemówił pan dygnitarz do nauczyciela tonem lekkiego wyrzutu.

Z kolei pan naczelnik przyzwał jeszcze innego ucznia, zapytując:

— Powiedz mi chłopcze, na co się też może przydać człowiekowi rozum?

Ale chłopak milczał. Zresztą nikt w szkole nie mógł się zdobyć na odpowiedź; sam pan nauczyciel był w kłopotcie, bo to pytanie, brzmiało inaczej w katechizmie, a mianowicie: "Na co nam Pan Bóg dał rozum?"

— No, jakże dzieci, nikt w całej szkole nie odpowie? — pytał pan Piątkowski.

Wtedy zostatniej ławki podniósł się duży wyrostek i wyciągnął w górę dwa palce. Plastrusiński skamieniał i na migi dawał znak chłopcu, aby usiadł. Był to bowiem uczeń obity na wszystkie strony linią i dyscypliną, nie mówiąc o naciąganiu uszu. Jednakże naczelnik dostrzegł ochotnika i przyzwał go do siebie, zachęcając:

— Dobrze, dobrze, wyrosłeś duży i powinienes się już zastanawiać.

Chłopak rzeczywiście się zastanowił, a rezultatem tego zastanowienia było przypomnienie sobie bajki pod tytułem: “Mądry i głupi”, której się kiedyś na pamięć uczył i teraz sądził, że o nią właśnie chodzi. Wyrzeczytował tedy od początku, który brzmi: “Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się” — aż do końca, gdzie mądry odpowiada: “Takie moje zdanie, aby nie odpowiadać na głupie pytanie”.

To przejście od katechizmu do literatury zepsuło cały egzamin.

Wizyta się skończyła i goście właśnie opuszczali przybytek nauki, kiedy Szumara, stojący przy drzwiach, zameldował półgłosem burmistrzowi wiadomość o strasznych nieporządkach w mieście podczas jarmarku z powodu psa wściekłego i szalonego wołu. Wiadomość tę usłyszeli wszyscy, rzekł przeto pan Piątkowski:

— Panie Brzuchacki, obecność twoja potrzebniejszą jest w mieście, niż tutaj. Proszę się czempredzej uzbroić w broń palną i zgładzić niebezpiecznego psa. My tymczasem odwiedzimy kościół i proboszcza.

Rozkaz był tak kategoryczny, iż wypełnienie go nie przedstawiało najmniejszego pola do wątpliwości lub namysłu.

Zatem burmistrz, kancelista i policyant pośpieszyli do magistratu, gdzie za piecem, trawiona rdzą, znajdowała się stara rusznica stanowiąca arsenał obrony miasta Skalbmierza. Sam tylko Szumara wiedział, jak się broń taką nabija i jak z niej strzelać. To też i na tem polu tryumfował wobec swoich zwierzchników. Śmiało wziął w rękę strzelbę, dmuchnął w nią i przekonał się, że jest nabita. Wykręcił stary nabój, wybrał z szuflady nieco prochu, loftek i kapiszonów, robiąc z tego wszystkiego właściwy użytek.

Tak uzbrojeni wykonawcy władzy w Skalbmierzu ruszyli, aby zwiększyć liczbę prześladowców nieszczęśliwego Kudły.

Najprzód szli w rynek, gdzie ten i ów na prędce opowiadał niecierpliwemu burmistrzowi o fatalnym wypadku z wołem.

— Otóż to są skutki mojej nieobecności na jarmarku! Nieład, harmider, przewrót wszystkiego do góry nogami! I nie trzymaj tu takiego narodu w karbach! — mówił do żywego zgrozą przejęty Brzuchacki.

— Czyby nie iść pierwej zobaczyć, co się dzieje z tym wołem? Powiadają ludzie, że Trykalski jest ciężko poraniony — pokąsany przez psa wściekłego i zbodzony przez wołu — wtrącił Cybuszkiewicz, przerażony wypadkami dnia, wybladły jak widmo i

drżący na samą myśl spotkania się oko w oko z psem wściekłym.

Ale Szumara, potrząsając nabita strzelbą, protestował natychmiast ze zwykłą sobie stanowczością:

— Cóż znowu! Pies wściekły jest tu przecież najważniejszy, rozkaz mamy wyraźny! Tam najprzód iść należy.

Więc poszli wszyscy ku rzece.

---

## 9. Zakończenie.

Pozostawiliśmy nad brzegiem Kudłę, zdecydowanego na walkę o śmierć lub życie. Śmiałe jego postanowienie zdumiało z początku nacierających, ale zarazem utwierdziło ich tem silniej w przekonaniu, iż tylko wściekłość, a raczej wścieklizna mogła wywołać ze strony psa tak zuchwały opór, stawiany pogoni. Bądź, co bądź, obawiano się podejść do Kudły zbyt blisko. Zdaje się jednak, że wściekłość ścigającej zgrai była większą, aniżeli wściekłość psa, nawet wściekłego. Zmieniono sposób prowadzenie walki, a na biednego psa posypały się bryły, kamienie, trzaski, kije i koły. Wprawdzie nie każdy pocisk trafiał w cel, jednakże musiał



trafić niejeden, by Kudła wydał z siebie rozdzierający krzyk boleści i cierpienia: “aj oj, aj oj!” Głos ten nie zmiękczył niczyjego serca, nie powstrzymał ani jednej ręki od miotania śmiertelnych pocisków. Pies skomlił, pełzał po ziemi i stoczył się z urwistego brzegu rzeki tuż nad wodą.

W tej chwili poprzez zacięty tłum, rozpychając wszystkich na bok silną ręką, przedzierał się Chmiela. Właśnie kilku parobków zabierało się do wymierzenia Kudle z brzegu ostatniego skutecznego ciosu, kiedy Szymek uderzył gwałtownie pięścią w kark jednego z nich, drugiego zaś kopnął nogą tak potężnie, iż ten zarył się głową w błocie.

Ale jednocześnie prawie z Chmielą na plac boju przybył Brzuchacki, a z nim Cybuszkiewicz i Szumara, pałający żądzą walki z psem wściekłym.

— Gdzie tu jest ten pies? — krzyknął burmistrz na przerażonych czynem Chmieli prześladowców Kudły.

Niektórzy podnieśli ręce, wskazując urwisko brzegu i wołając:

— Tam! tam!

Szumara z przygotowaną strzelbą posuwał się ku brzegowi, ale Szymek zastąpił mu drogę i krzyknął chrapliwym głosem:

— Ja ci nie dam zabić mojego psa!

Brzuchacki skamieniał prawie ze złości na widok tak niesłychanego zuchwalstwa drwala i obdartusa, będącego zgorszeniem całego miasta. Jak to, w przytomności władzy, kiedy on sam, burmistrz idzie wykonać prawo, staje na drodze ktoś i to taki cham jeszcze, stawiając opozycję?

Więc zsiniały prezydent przyskoczył do Szymka, a chwyciwszy go za kołnierz kaptoty, wrzasnął:

— Do aresztu!.. Gałganie, ty tu będziesz stanowiął przepisy!..

— Panie prezydencie! — zawołał Chmiela — domagam się tylko sprawiedliwości; mój pies nie jest wściekły i nie mógł pokąsać nikogo! Przysięgam na Pana Boga!

— Milcz trutniu! — wrzasnął burmistrz, nie znoszący wogóle opozycyi, a zwłaszcza teraz, gdy mu chodziło bardzo o to, aby dany sobie rozkaz władzy wyższej wykonał literalnie i zgładził psa wściekłego. Wszakże myślał w duszy, iż właśnie ma dobrą okazję wykazania swojej sprężystości i energii w spełnianiu trudnych obowiązków urzędu.

Podczas tego zajścia Brzuchackiego z Chmielą, Szumara posunął się ku brzegowi rzeki i spostrzegł psa, zawieszzonego prawie na urwisku nad wodą, a spoglądającego w

górze wzrokiem zarazem żałosnym, trwożliwym i jakby błagającym o litość.

Policyant z zimną krwią, godną lepszej sprawy, wymierzył rusznicę; odległość była niewielka. Strzał huknął!... Pies zaskowyczał, zajęczał, niejako, żegnając świat i oplakując gorzkie życie; potem kurecze konania rzuciły nim w fale rzeki.

Chmiela nie mógł się już powstrzymać, był bowiem przywiązany szczerze do psa, przeto spojrział strasznym okiem na policyanta i wyrzucił z ust słowa obelgi oraz pogardy.

— Wisielecy! Zbóje!...

— Wziąć go zaraz do magistratu! — krzyknął znowu Brzuchacki, spoglądając rozkazująco na otaczających go chłopów.

Lecz Chmiela dał już dowody swojej siły, a w tej chwili miał postać tak straszną, że nikt jakoś nie śmiał się ku niemu zbliżyć. Dodać i to trzeba, że nienawiść tłumowi zmieniła się w rodzaj sympatyi dla Kudły, którego martwe zwłoki widniały w oddaleniu na wodzie. Każdy już teraz powątpiewał o wściekliwość psa. Dzięki tej to ruchliwości moralnej natury ludzkiej istnieje możliwość postępu na drodze do etycznej doskonałości.

*Jnrmark na sw. Onutry 8*

Tylko sam jeden Szumara zbliżył się do Szymka i rzekł stanowczo:

—No, ruszaj do kozy! Żartów tu niema!

Ponury Chmiela szedł spokojnie, a za nim również spokojnie postępował ten sam tłum, co niedawno prześladował namiętnie Kudłę.

Właśnie weszli w rynek i spotkali się z drugim tłumem, który towarzyszył spoconemu, obloconemu i obsypanemu dotąd jeszcze popiołem Trykalskiemu. Rzeźnik odzyskał swojego wołu, a prowadząc go na powrozie z wielkiem wzburzeniem umysłu zdążył ku jatce.

— Jak to, panie Mateuszu, mówiono mi, że was pies wściekły pokąsał, a wy tutaj? — powiedział Brzuchacki.

— Przyjdę jutro ze sprawą do magistratu, to się pan prezydent dowie o wściekłych sukach w mieście, które lepiej strzelać, niż psy zdrowe! — odrzekł rozgoryczony rzeźnik.

Burmistrz tym razem zmilczał, Cyburskiewicz westchnął.

Tak się skończył przednówkowy jarmark na święty Onufry w Skalbmierzu. Ludzie długo o nim pamiętali.

---

## SPIS RZECZY.

	Str.
Margocha i Brycha.....	5
Szymek Chmiela i Kudła.....	8
W przeddzień jarmarku.....	22
Poranek ..	30
Nie widać karety.....	34
Pies wściekły.....	39
O wołu poszło.....	45
Wizyta w szkole.....	53
Zakończenie.....	61



Odkwaszone

-- -06- 2011

Z. M. deGruiter  
N. Y. 16. 12. 94

.....  
- 80000



45